

**WŁADYSŁAW**

**STANISŁAW**

**REYMONT**

TOMEK BARAN

Władysław Stanisław Reymont

**Tomek Baran**

«Public Domain»

## **Reymont W.**

Tomek Baran / W. Reymont — «Public Domain»,

Jedno z wielu opowiadań Władysława Stanisława Reymonta (1867–1925), pisarza o ogromnym dorobku nowelistycznym. Główny bohater, Tomek Baran, traci pracę i od tego momentu poznajemy dramat jego życia. Bieda, beznadzieja, choroba, śmierć i tragiczna dola najbliższych są przyczyną moralnego upadku bohatera. Brak wiary w możliwość zmiany swojego losu i stagnacja, trwanie w nędzy i rozpacz to obraz charakterystyczny dla treści tych krótkich utworów Reymonta, które wpisują się w nurt naturalistyczny. Towarzysząca tym motywom prezentacja stosunków międzyludzkich, obnażenie izolacji społecznej postaci wzmagają wstrząsający odbiór noweli.

© Reymont W.

© Public Domain

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

11

## Władysław Stanisław Reymont

### Tomek Baran

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby, niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i poprzez naród, splątany gęsto, niby żyto na boisku, przepychał się do drewnianych krat, za którymi stał szynkwias.

– Dać półkwaterek, ino krzepki.

– W blaszkę nalać?

– Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kieliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kieliszek nalał i wypił. Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, spluwał, bił pięścią w stół, to unosił się, chcąc biedz, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozcierał oczy kułakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go, jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Jakieś ciężkie strapienie leżało muna sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł, i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściej wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsa od hołupców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem.

– Hop! hop! hop! – leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej się okręcali w kole.

Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami, niby maki w polu dostalego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe, zamaznięte szybki karczmy smugi rudawego światła, a mały kaganek, świecący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt hołupców.

Wrzawa głucha podnosiła się, niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylatywały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! – i znów na chwilę tonęło wszystko w zgiełku ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasiu – gdzie tylko miejsce było, wszędzie stali ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o księdzu proboszczu, o dzieciskach, o dobytku, o wszystkim, co im leżało na „wątpiach” i z czego w kompanii zawsze łatwiej się wygadać i łatwiej mieć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydłę i ze źródła wody samo się nie napije, a w kompanii pije i ze „chrapu”, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, do lasu nie jeździć, ino, jak Pan Bóg przykazał, zawsze z drugimi, – z bratami.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i „kuntentność” rozpromienia wszystkie oczy, i coraz głośniejszy krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkimi przycinaniami obcasów skrzypiały coraz ciężej – a basy, umieszczone wysoko, na kłodzie z kapustą, śpiewały coraz grubiej:

– Bom, cyk, cyk! Bom, cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

– Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach – a wszystko tak nawskróś przeniknięte rytmami skocznej muzyki – że oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kieliszki na szynkwasiu, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno, niby chłop Żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

– Dyy, dyz, dyz! – brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem – i tupot był zaraz siarczystszy i pokrzyki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopcił sadzą, na

powiewające, niby płaszcze, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dym papierosów i mrok, jaki panował w ogromnej izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarysy ciał i barwy jaskrawe, w tym zapamiętałe się kręcącym wirze ludzkim.

– Kto mi będzie usługiwał, usługiwał, cha... cha... cha... i... i... i... – chichotały wesoło skrzypeczki.

– Oto ja, tylko ja... a... a... a... – odpowiadały z jakimś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się i baraszkować i przenikać wszystkich śmiechem wesela, aż karczma zdawała się trząść od przyływu pijackiej wesołości.

Jedna baba oszalała,  
A druga się wściekła,  
Trzecią dyabeł okulbaczył  
I pojón do piekła.

Zaśpiewał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać coraz inne zwrotki i bić wesołością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany: nalał drugi kieliszek, ale mu go wyrzucił jakiś roz hulany tanecznik, więc kopnął ze złości jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna i markotno siedzieć samemu, poszedł za szynkwas do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleczeni ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmokwały okowitę z rozkoszą. Poczęstunek szedł rzetelny – katolicki: stać było kogo na arak – stawiał, abo na spirytus z asencyą – stawiał, abo na okowitę samą – stawiał, abo tylko na piwo – stawiał.

Stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biednemu kiej-niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznej, i choć kapkę na frasunek.

– O psie jeden – bełkotał pijany chłop do komina – takiśto kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle<sup>1</sup>, a un me w pysk!.. Takiśto kum, o psie jeden, taki krześcijan!... a un me w gembe!... Bartek zmógł siła, to i ciebie zmoże... zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu pedom grzecnie: bracie!... a un me w pysk, a ja mu pedom: kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu potem: takiśta kum, taki krześcijan... – mrucał coraz niewyraźniej i bił pięścią w komin, aż się echo rozlegało, i zataczał się coraz senniej.

Ja za wodą, ty za wodą.  
Jakże ja ci buzi podom?  
Podom ja ci na listecku,  
A naści-że, kochanecku

zaśpiewała Karlina, ta, co to w kopania męża pochowała i sierociła teraz sama jedna na półwłóce pszennej ziemi z koniem, z krowami i z niezgorszymi jeszcze szmatami po nieboszczyku. Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą, i znowu mu zaśpiewała:

Wojtecku, Wojtecku,  
Nie siedź na przypiecku —  
Ino chodź do wdowy,  
Bo ma chleb gotowy.

---

<sup>1</sup> orzydle – ubranie na piersiach. [przypis autorski]

– Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

Będziesz miał, kiej w raju – moje ty kochanie,  
Zjesz syrek na wieczór – kurę na śniadanie.

– Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upiecze, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

– Oj, stara a głupia! Zębów nima, a gryzłaby! – odezwał się ktoś z boku.

– Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, „deputnik” pieski! – rzuciła się Karlina gwałtownie.

– Cichojsa, kumo, ja wam coś rzeknę.

– Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że »sielny« pan – a choć ty po wsi szczekasz, jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie wleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie dalej, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało z pękatej butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykułował szeroko i gadał:

– Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedye różne szły na mnie, jak baby nażydowskiego konia, a ja nic! Kobita mi się przy dziecku zmarnowała – nic! konie mi ukradli – nic, ino czekam, Jędrek mi zachorował na ospę – o psiachmać! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zaniesę dobrodziejowi na mszę świętą – i – jak ręką odjął! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

– Dziecisków, jak pliszek na podorówce, kobieta na świeże chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, bieda aż piszczy – a tu na wszystko – patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie-no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierę i z tej i z tamtej strony i nic wykalkulować nie mogę.

– Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiej w pysk od dozorczy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie i świeży grosz. Miarkuj se ino – Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa: flaszeczkę esencyi, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kiełbasy font! – wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi: dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kiełbasy, a talerza dla pana Strzelca! Widz pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

– Cicho, stary, ja dokumentniej opowiem, bo ty nie pamiętasz – przerwała mu żona. – Ide se duchtem<sup>2</sup> na ten przykład, ide...

– Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mleć po próznicy. Ja powiem. Pańskie zdrowie.

– Pijcie z Bogiem.

– Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

– Wasze zdrowie, Andrzeju!

– Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Bóg zapłać, Andrzeju, ale ja już nie mogę.

– Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: ide se duchtem, niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś: zając,

---

<sup>2</sup> *ducht, dukt* – droga leśna. [przypis autorski]

czy nie zając – nie; nima ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnia, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aże ścierpła ode strachu, że tylko odmawia »Pod Twoją obronę«; a ten zwierz leży furt i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało, jak palec – a że babski naród, zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci – to jak nie zdejmie trepiska z nogi i jak nie chlaśnie tego zwierza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu – powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary! – A co? – odrzeknę. – Zabiłam jakiegoś zwierza na duchcie – powiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie, jak baba. A ta wciąż swoje: – Zabiłam zwierza, czycosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pleść, a ta znowu swoje: – Zabiłam zwierza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwkę i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

– Andrzej, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę na wóz.

– Jeszcze kropelczkę gorzałki, panie Strzelec, – na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi, przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcej, niż ojciec, niż brat, bo mój dobrodziej kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płac! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie zrobi, a że pana kocham, niby rodzonego – świniaka jutro żona zaprowadzi, po przyjacielsku, i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopcy-chamy, jak my, na ten przykład, – dodała chytrze kobieta, chyląc się do kolan Strzelcowej, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

– Już ja mam takie miękkie serce, że nie tylko wam sarnę daruję, Andrzej, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiejś, albo i dąbka młodego – to odmówićbym serca nie miał.

– Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijać do siebie często, całować się serdecznie i szeptać po cichu, że od drugiego stołu znów słyhać było chłopów:

– O juchtra! Zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem mieszkali?

– Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to juści, że człowieka markotność rozbiera, niby choroba.

– Czerwiński wam powie tak: mógł jeszcze żyć, „co go wypominam podczas wieczoru, ale w dobry sposób”, – mógł.

– Halo! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zamarł chudziaszek.

– Doktor pono u nich był?

– I... doctory. Jak kto ma zamrzeć, to choćbyś mu gruntu hubę dał i dobra wszelkiego po grdykę – nie ożyje.

– Prawda! w twoje ręce, Grzela!

– Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną, niby kłoda; prowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z oną świnia; śniegi zwały po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie, jak przy handlu. Potem kielbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nicby mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwatka.

– Bał się nieborak piekła w chałupie.

– Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prała-ć go nieraz, prała!

– Wasze, kumie.

– Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powie: żeby był „psiąkrótkę” prał, ażby jej pomroka na oczy wlaźła, to miałby żonkę grzeczną, że ha!

– Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, pomyslonku chłopskiego nie miał, i teraz ziemię gryzie – a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

– Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.

– Takiście to mąż? – kobieta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany! – krzyczała jakaś baba, przepychając się do nich.

– Co mi tam!... dziecisków, niby śmiecia a tu nowe...

– Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...

– Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pódziemy...

– A jak to mnie Jezusiczek – zaczęła kobieta – nie pocieszył na starość dziecięcym, do Częstochowym chodziła i u różnych doktorów się likowałam i nic – sama zostałam na świecie, jako ten grzeszny palec... sama.

– Ale, miej baba dziecko, jak ci sto lat minie.

– Nie gadałbyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

– Pan Bóg wstąpił w niebo, dyabeł w babę, a kwas w piwo – tylko, że niewiadomo kiedy! – miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobieta i szeptała przyciszonym, dźwięcznym głosem:

– Siedemdziesiąt sześć років żyje, paniczku – tom widziała i białe, i czarne, i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i po zagranicznemu gadali – a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umię, i gospodynią pierwszą na całą wieś byłam, i dzieci miałam, i dobra wszystkiego dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiało, jak to słońce latowe, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko, paniczku, wiem, czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie – to zawsze nic innego, tylko ostatnia mizeracya jest. Ja prosta baba jestem, siedemdziesiąt i sześć років mam – to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

– Prawie sześć tysięcy lat.

– A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie beze mnie i dobrze było, to przez co ja tyle років przecierpiała!? Co tu po mnie było?

– Ano trudno, Pan Bóg życie dał... to...

– Paniczku, przerwała mu szybko stara – ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem duchownym paniczek śpiewa i wie, kiedy wyciągnąć nutę cienką, a kiedy grubą – ale powiem: może ja grzeszne mam myśli, – ale powiem: to pewnikiem dyabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w ostatniej mizeracyi przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć w książkach stoi i księdze mówią: nie. Coby ta Jezusickowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabieduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne – tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną oblewa.

– Co wy też, Jagustynko, wygadujecie, przecież to grzech...

– Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzech, a jabym psa nie żgła kijaszkiem, bo żyw i takóž cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam, jak ten węgielek, przez ogień spieczony, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie i za drugich, i wiem, że dyabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najukochańszy zlitował się nad nami, przeparał złego i po trochu wybiera se ludzi do swojej chwały – i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i pacierz oto mówię, niechby najprędzej oczy przywrzeć, nie mieć już nijakiej turbacyi, ni biedy – i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzemiącym organiściakiem i suchą, przeradloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś łzy... obtarła je szybko za paską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka, siedzącego samotnie na skrzynce, z flaszką w garści.

- Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy – szepnęła, dotykając jego ramienia.
- A coby, jak nie bieda? bo to babka nie wiedzą?...
- Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo, kiej wiara, a kiej para.
- Dymisyę mi dali – szepnął chłop smutnie.
- Bez co?

I w głosie jej zadźwięczało ogromne współczucie.

– Bez co?... bo trzeba było dawać dozorczy: to gąski pod jesień, to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraka na Świątki – a ja nie nosiłem, jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść – kobieta mi się z biedy zmarnowała, krowa padła też nie przez dobrość, kartofle, wiece, jakie były łoni... mniej wykopałem, niż wsadziłem. Darłem się prawie, i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień i w nocy, a biedy nie zmogłem. Dozorca ciągle pomstował na mnie – com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że jestem hardy, że lenciaj, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę – potem powiedział, że żelazo ukradłem z magazenu, że...

- Tomek, wzięłeś? powiedz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.